**Natalia Czurejno,12 lat, Szkoła Podstawowa w Wykrotach**

**40 lat minęło, jak jeden dzień… Osobista kronika rodziny z lat 70., 80. Opowieść o życiu codziennym w latach 70., 80.**

**Lipiec 1972 r.**

„Autostop, autostop,

wsiadaj bracie, dalej, hop.

Rusza wóz, będzie wiózł,

będzie wiózł nas dziś ten wóz.”

Słowa piosenki zainspirowały mojego, wtedy dziewiętnastoletniego, dziadka. Postanowił, że wybierze się w podróż po Polsce autostopem. Mimo, że był już pełnoletni, przygotowania do wyprawy przeprowadził w tajemnicy przed rodzicami. Najpierw za 45 zł kupił w biurze turystycznym książeczkę autostopu. Potem założył w banku książeczkę oszczędnościową i wpłacił na nią 200 zł. Przygotował trochę ubrań na zmianę, jedzenie na drogę i już mógł wyruszać. Trasę podróży ustalił wcześniej bardzo dokładnie z kolegą   
z klasy, który miał mu towarzyszyć.

W pierwszej kolejności pojechali do Łupowa koło Gorzowa Wielkopolskiego, gdzie mieszkali dziadkowie mojego dziadka. Tam chłopcy byli dwa dni. Potem ruszyli w stronę Szczecina, następnie do Świnoujścia. Nie przeszkadzało im, że czasem musieli trochę poczekać, zanim ktoś się zatrzymał i zabrał ich w dalszą drogę. Niekiedy dołączali do nich też inni autostopowicze.

Ze Świnoujścia udali się, cały czas wybrzeżem, do Sopotu. Tam dziadek odszukał panią, u której 10 lat wcześniej mieszkał w czasie wakacji z rodzicami. Pani Janina zaproponowała autostopowiczom bezpłatny nocleg na działce w altanie. Spędzili tam kilka dni. Kąpali się w morzu, spacerowali po molo, lecz największe wrażenie zrobiła na nich Opera Leśna.

Kolejnym celem wyprawy był Gdańsk, następnie Olsztyn, Warszawa, którą dziadek poznał już wcześniej podczas pobytu na kolonii oraz Kielce. Dziadek co jakiś czas wysyłał widokówki do rodziców.

W Krakowie zachwycił chłopców Rynek, Wawel, Barbakan i Planty. Kolega dziadka zaproponował nocleg u swojej starszej siostry w Ojcowie. Zatrzymali się tam na kilka dni,   
a następnie skierowali się do kolejnych krewnych kolegi, tym razem do wsi Mordarka koło Limanowej. Trafili akurat na żniwa, przy których z ochotą pomagali. Wieczorem przy wspólnej kolacji jedli z jednej misy mięso „świeżonkę” oraz ziemniaki. Po posiłku starsza kobieta śpiewała ludowe pieśni. Ostrzegła też chłopców, że nocą zło hula nad strumieniem   
i żeby uważali na złe strzygi.

Wieś Mordarka była końcowym etapem wspólnej wyprawy kolegów. W dalszą drogę dziadek ruszył już sam. Pojechał do Nowego Sącza, do cioci Olgi, kuzynki jego mamy. Stamtąd wysłał telegram do rodziców z prośbą o pieniądze na drogę powrotną. W ten sposób zakończyła się jego pierwsza, a zarazem ostatnia przygoda z autostopem.

Obraz zawierający tekst

Opis wygenerowany automatycznieObraz zawierający tekst

Opis wygenerowany automatycznie

Książeczka autostopowa mojego dziadka.

**Sierpień 1977 r.**

Gdy mój dziadek miał dwadzieścia cztery lata, pierwszy raz poleciał na wycieczkę zagraniczną do ZSRR z biurem podróży *Juventur*. W tamtych czasach funkcjonowała tzw. „społeczna giełda”. Turyści wyjeżdżając zagranicę, zabierali ze sobą rzeczy warte sprzedania, czyli te towary, których było sporo w Polsce, a mało w innych krajach. Potem za tak pozyskane pieniądze kupowali to, co u nas było trudne do zdobycia. Dziadek musiał się dobrze przygotować. Najpierw w Kamiennej Górze, w fabryce szyjącej ubrania, kupił garnitur. Chciał koniecznie zabrać ze sobą w podróż również dżinsy. Wtedy kupienie takich spodni nie było proste, ponieważ ich po prostu nie było w sklepach. Dziadek dowiedział się od kolegów, że pewna pani z Wałbrzycha ma do sprzedania dżinsy „Rifle” pochodzące   
z paczek od rodziny. Pojechał i kupił dwie pary. Pani była trochę wystraszona, ponieważ sprzedaż była nielegalna i często z tego powodu miała kontrole milicyjne.

Wycieczka dziadka odbywała się na trasie Moskwa – Taszkient– Fergana–Frunze. Po wylądowaniu w Taszkiencie, stolicy Uzbekistanu, dziadek źle się poczuł. Była to reakcja na zmianę strefy czasowej. Rano w hotelu od razu „zaatakowały” go panie sprzątające, pytając się go, co przywiózł. Najwidoczniej dobrze się zaopatrzył, ponieważ już pierwszego dnia pozbył się z zyskiem przywiezionych na sprzedaż ubrań. Trochę żałował, że nie wziął ze sobą więcej towarów. Za uzyskane pieniądze kupił dwa pierścionki. Pierwszy był z syntetycznym rubinem, a drugi, mniejszy – z perełką.

Dziadek najadł się niemało wstydu przy przeszukiwaniu przez celników bagażu na lotnisku w Moskwie. Okazało się, że obu pierścionków nie można było zabrać ze sobą do Polski. Jeden został skonfiskowany i przekazany do depozytu. Dziadek dostał zaświadczenie, że w ciągu trzech lat może go odebrać. Skorzystał oczywiście z okazji podczas kolejnej wycieczki do Moskwy.

**Luty 1979 r.**

Urodziny mojej mamy. Babcia wraz z prababcią już na długo przed terminem porodu szykowały ubranka i niezbędne dla dzieciątka dodatki. Babcia kupiła bawełniany materiał tzw. „tetrę”, który cięła na kawałki i obszywała, szykując w ten sposób pieluchy. Prababcia szyła śpioszki i kaftaniki. Buciki, rękawiczki czy czapeczki były robione na szydełku bądź na drutach. W sklepach nie było zbyt dużo ubranek, więc większość przygotowywano samodzielnie.

Poród odbył się w szpitalu. Moja świeżo urodzona wtedy mama nie mogła leżeć na sali razem z babcią, była przynoszona do niej tylko na czas karmienia. Dziadek mógł zobaczyć swoją córkę jedynie na chwilę przez uchylone drzwi oddziału położniczego. Po kilku dniach mama z babcią wyszły ze szpitala. Zostały odebrane przez pradziadka, który specjalnie przyjechał po nie czerwonym samochodem o dziwnej nazwie „Zaporożec”. Mama owinięta była zrobionym przez prababcię ciepłym becikiem. Była wtedy bardzo mroźna zima, tzw. „zima stulecia”. Temperatura powietrza spadła do kilkunastu stopni poniżej zera.

Prababcia od strony dziadka była zawsze elegancka, wyperfumowana „Panią Walewską” i bardzo lubiła biżuterię. Tak bardzo ucieszyła się z urodzin wnuczki, że wyciągnęła do swojej synowej ręce i w ramach prezentu pozwoliła wybrać jeden z noszonych przez siebie pierścionków.

Obraz zawierający tekst, ramka na zdjęcie

Opis wygenerowany automatycznie

Moi dziadkowie razem z mamą.

**Grudzień 1979 r.**

Dziadek chciał kupić kolorowy telewizor marki „Rubin”. Zapisał się na listę kolejkową. Cieszył się, że był jednym z pierwszych, w przeciwnym razie szanse na zakup byłyby małe. Zwykle nie dla każdego wystarczyło towaru. Co godzinę musiał meldować się w kolejce, żeby nie zostać skreślony z listy lub nie trafić na jej koniec, stale dochodzili przecież nowi chętni. Zima znowu była mroźna i śnieżna, dziadek stał całą noc okrywając się kocem   
i rozgrzewającymi ciepłymi napojami. W końcu udało się. Kupił duże, ciężkie pudło.   
Z trudem zostało wniesione na pierwsze piętro do mieszkania. Był to telewizor bez pilota. Włączać i wyłączać oraz zmieniać kanały, a były tylko dwa, trzeba było ręcznie. Mimo to radość w domu była wielka.

Gdy mama troszkę podrosła, oglądała codziennie „Dobranockę”, czyli krótką bajkę puszczaną w telewizji około godziny dziewiętnastej. Była to wtedy jedyna telewizyjna atrakcja dla dzieci. Ponieważ bajki te trwały niezbyt długo, w ciągu dnia, zwłaszcza zimą, gdy szybciej stawało się ciemno, mama i inne dzieciaki bardzo chętnie oglądali bajki wyświetlane   
z projektora na ścianie.

A telewizor „Rubin” działał wzorowo przez dziesięć lat. Któregoś wieczoru, podczas oglądania, zaczęły z tyłu aparatu wydobywać się płomienie i masa dymu. Pożar został ugaszony, jednak telewizor nie nadawał się do dalszego użytku.

**Luty 1982 r.**

Obraz zawierający tekst, pudełko

Opis wygenerowany automatyczniePosiadanie nowego auta nie było w tamtym czasach wcale proste. Nie wystarczyło, że miało się pieniądze, trzeba było jeszcze mieć dużo szczęścia. Dziadek marzył o nowym Fiacie 126p, tzw. „Maluchu”. Wpłacił część wymaganej na zakup kwoty i czekał, aż uśmiechnie się do niego los. Po miesiącach czekania został wylosowany w loterii. W końcu za wpłacone wcześniej do banku pieniądze mógł kupić samochód. Pojechał wraz ze swoim tatą do Strzegomia odebrać nowiutkiego, żółtego „Malucha”.

Obraz zawierający tekst

Opis wygenerowany automatycznie

Dowód rejestracyjny Fiata 126p należącego do dziadka.

**Marzec 1984 r.**

Moi dziadkowie przeprowadzili się z Kamiennej Góry do Jeleniej Góry. Nowym miejscem pracy babci był JPBM czyli Jeleniogórskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego. Wtedy powstawało w mieście bardzo dużo bloków mieszkalnych z tzw. „wielkiej płyty”. Babcia miała większe szanse na przydział mieszkania, tym bardziej, że zakład pracy zostawiał dla swoich pracowników kilka lokali w każdym z wybudowanych bloków.

Najpierw dziadkowie mieszkali w hotelu pracowniczym. Babcia była kierownikiem   
w dziale naliczającym wypłaty pracownikom, jednak żeby przyspieszyć przeprowadzkę, pomagała wieczorami na budowach, sprzątała, wynosiła gruz. Po około roku dziadkowie dostali upragnione mieszkanie w bloku „kolejowym”, czyli przeznaczonym dla osób pracujących na kolei.

Mama bardzo cieszyła się z nowego, dużego pokoju, który był tylko dla niej. Oprócz tego w mieszkaniu znajdował się trochę większy pokój, mała łazienka i kuchnia. W bloku mieszkało bardzo dużo dzieci. Mama zawsze miała z kim się bawić. Jeśli nikogo nie było na podwórku, szła do pierwszej klatki i dzwoniła po kolei do wszystkich mieszkań, pytając się dzieci albo ich rodziców, czy mogą wyjść na podwórko. Żadne dziecko się nie nudziło.

**Wrzesień 1986 r.**

Moi rodzice mieli bardzo blisko do szkoły. Tak się złożyło, że mama mieszkała po jednej stronie, przy szkolnym płocie, a tata po drugiej. W pierwszych latach lekcje odbywały się na dwie zmiany, ponieważ uczniów było tak dużo, że brakowało dla nich miejsca   
w salach. Pierwsza zmiana rozpoczynała naukę już dziesięć po siódmej, druga przychodziła do szkoły około godziny jedenastej. W każdej z klas, od „a” do „e”, było ponad trzydziestu uczniów. W późniejszych latach część dzieci przeniosła się do nowej szkoły o profilu sportowym. Nie było więc potrzeby nauki na dwie zmiany.

W szkole obowiązywały mundurki z białym kołnierzykiem i naszytą na rękawie tarczą. Miały one inne kolory w zależności od klas. Zielony nosiły dzieci najmłodsze, czerwony był przeznaczony dla klas czwartych, piątych i szóstych, a niebieskie tarcze miały klasy najstarsze. Najlepsi uczniowie otrzymywali tarcze wzorowego ucznia, które również przyszywali do mundurków.

Rodzice miło wspominają czasy szkoły podstawowej. Pamiętają z tamtych lat różne szczegóły, na przykład to, że mama czasami chodziła w trakcie lekcji do domu, aby zemleć kawę dla pani wychowawczyni. Tato zaś kiedyś tak mocno rozbujał się na lekcji muzyki na krześle, że gdy złapał za firankę, aby nie upaść, to zerwał cały karnisz i wraz nim runął na podłogę. Lata 70. i 80. to czas szarzyzny, sklepów z pustymi półkami, kartek na żywność, wprowadzenia stanu wojennego. Jednak mimo to dziadkowie ten okres wspominają również miło. Byli przecież wtedy młodzi i trochę inaczej patrzyli na życie.